DODATEK LITERACKI
DO „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO“
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE.

Rok II. | Berlin, niedziela, dnia 5 marca 1922 r. | Nr. 5.

MYŚLI.

Biada temu, którego w towarzystwie osądzą za przyjemnego człowieka: musi potem wszystkie zakamarki rozumu otwierać i rozpuszczać z nich na świat władze, które trzymał za kluczem, jak warjaty, aby nie chodziły po mieście.

Nabycie wiadomości, których nikomu udzielić nie można, czyni umysł podobnym do śpiżarni, zawalonej spleśniałemi wiktuałami.

„Humor jest tak towarzysz małżeńskiego pożycia: trzeba się więc starać, aby zły nie był, bo inaczej piekło w domu.

...Nie na to jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnej uciechy i posągów przyszłych, jako aktorowie, grający każdy swoją sztukę smutną albo wesołą, ale dla chwały bożej jesteśmy i dla pracy prostej a czystej i dla wywiązania ducha naszego i dla spełnienia tego, co mu jest polecono...

...Dosyć jest ludzi, strzegących mizernych swoich pozycyj i dumy własnej i czci światowej... i fałszów... ale muszą być i tacy, co zapomną o sobie, a wtenczas będą silni i niepokonani.

Są położenia, że trzeba z miłości własnej zrobić ofiarę, to jest nie ukrywać się z niczem i być otwartym, choćby serce przeczuwało, że ludzie krzywo tę otwartość osądzą, nazwą ją złością lub zazdrością...

Słowacki
(Listy do matki)

Przywiązanie do rodzinnej strzechy.

Klemens Janicki, syn wyśniaka z Januszkowa, wioski leżącej niedaleko Żnina we Wielkopolsce, był najsławniejszym poetą polskim w pierwszej połowie XVI stulecia. Pisał wiersze po łacinie i nietylko w Polsce, lecz także we Włoszech gdzie w 24 roku życia ukończył studja na uniwersytecie w Padwie, niezwykłych doznał zaszczytów; gdyż papież Paweł III ofiarował mu laur poetycki, a najznakomitsi przedstawiciele nauki ówczesnej wręczyli mu dyplom pochwalny.

Miło było Janickiemu bawić na dworze swego opiekuna i dobroczyńcy, wojewody krakowskiego, który chciał uczcić poetę po powrocie jego z ziemi włoskiej; a przecież widocznie czegoś mu jeszcze nie dostawało, za czemś tęsknił, bo nieraz wśród wesołej zabawy pogrążał się w zadumie, i westchnienia gwałtem prawie wyrywały mu się z piersi.

— Co ci jest? — zapytał go wojewoda. — Powiedz czego gragniesz, a wszystko dla ciebie uczynię.

— Miłościwy panie! — rzekł na to poeta — pozwól mi na dni parę odjechać.

— Co? odjechać? — zawołał wojewoda zdziwiony. — Albóż ci źle u mnie?

— O nie, miłościwy panie! Bardzo mi tutaj miło, ale dwanaście lat już byłem we wsi rodzinnej i nie widziałem moich starych rodziców.

Na to wojewoda:

— Bóg świadkiem, że mi bardzo przykro rozstawać się z tobą, ale trudno ci odmówić, kiedy w tak poczciwej jedziesz myśli. Zawsze to ojciec i matka droższi od ludzi obcych.

Pozwolił tedy pan wojewoda na wyjazd Janickiemu i swoją kolasę dał mu drogi.

Wyszli panowie pożegnać Klemensa, a jeden zapytał, gdzie mieszkają jego rodzice?

Klemens nie wstydząc się wcale swego chłopskiego pochodzenia, odpowiedział:

„Za żnińskiem bagnem jest wieś przejezdna,
Co się Janusza na imię zowie:
Tamtędy niegdyś polscy królowie
Jeździli w pruską ziemię od Gniezna;
I tam mój ojciec mieszkaniec wioski,
Orze poczciwie grunt pradziadowski!“

Wyjechał tedy we wspaniałej kolasie i w sukniach bogatych do lubej wsi rodzinnej, gdzie mieszkali jego rodzice, krewni i znajomi, gdzie tyle drogich sercu pozostało pamiątek.

Jak drzewo w ziemię puszcza korzenie i, choć zrąbane z wierzchu, krzewi się zawsze pod spodem, tak i pamiątki z lat młodzieńczych i miejsc rodzinnych żyją i korzenią się w sercu człowieka, choćby z wierzchu Bóg wie jaka zaszła w nim zmiana.

Szybko toczyła się pańska kolasa po drodze; ale dla Klemensa pędziła ona za leniwo; onby na skrzydłach orlich rad był przelecieć przez góry i lasy, stanąć w ojczystym domu i uściskać starych rodziców.

* * *

Pode wsią stoi krzyż na wzgórzu, a pod krzyżem w cieniu siedzi jakaś siwa zgarbiona staruszka. Zwróciła głowę ku gościńcowi i niby patrzy przed siebie, ale nic nie widzi. Od dwóch lat już zapadła na jej oczy ciemna zasłona i zakryła cały świat Boży: ona ślepa nieboga. Wsparła głowę o krzyż, siedzi smutna i nieporuszona.

Wtem zbliża się do niej jakaś młoda kobieta i rzeknie zdala:

— Ej matko, matko, cóż to znowu tak siedzicie samotnie?

Ciemna staruszka westchnęła i zwróciła głowę.
— Czekam tu na mojego Klimka; jak poszedł na te nauki, tak już nie wraca. Jam sobie już oczy wypatrzyła

nadaremnie, a stary ojciec legł w grobie i nie doczekał się jego powrotu. Pono i ja pójdę za nim, a nie usłyszę więcej jedynego syna. Codzień chodzę pod ten krzyż i czekam, czy nie nadejdzie — i czekam nadaremnie.

Wtem zaturkotała coś na gościńcu.

— Ktoś jedzie! czy to nie on? —, zawołała staruszka.

Dziewczyna popatrzyła na gościniec i rzekła:

— Ej, gdzie tam, to kolasa wspaniała, wiezie pewnie jakiegoś wojewodę albo kasztelana.

Tymczasem kolasa zbliża się, a zbliża, aż nareszcie przystanęła. Młody pan w bogatach szatach wystawił głowę i zapytał:

— Czy wy z Januszy, niewiasty?

Dziewczyna nie poznała twarzy ani głosu, ale serce ślepej matki zabiło jak młotem. Zerwała się z pod krzyża i z całej piersi wykrzyknęła:

— Klimku! Klimku! synu mój jedyny!

Wyskoczył młody pan z pysznej kolasy i rzuca się do nóg starej kobiecie, całuje jej kolana i jak dziecko zalewa się łzami.

— Matko moja — woła — to ja, ja, twój Klimek!

Staruszka nie posiada się z radości, może nareszcie przycisnąć syna do serca. Ale zarazem musi mu powiedzieć, że ojciec i brat już nie żyją, a ona sama może go widzieć jeno sercem i duszą, ale nie oczyma.

Dziewczyna, szczęściem staruszki rozrzewniona, pobiegła co tchu do wsi, i wnet wyszła gromada cała, młodzi i starzy, baby i dzieci, wszyscy biegli przypatrzeć się temu Klemensowi, co w takiej pysznej przyjechał karecie i miał suknie tak bogate. Już przybyli na miejsce, a jeszcze stara matka trzymała syna w objęciach, a on klęczał u jej kolan.

Miesiąc cały zabawił Klemens Janicki na wsi, choć codzień od pana wojewody przychodziły listy, aby coprędzej wracał.

Dobry syn postawił najpierw krzyż na grobie ojca, potem dla ciemnej matki o wszelkie potrzebne postarał się wygody, a przyrzekłszy jej, że wkrótce znowu do niej przybędzie, odjechał do Krakowa.

Ale stało się inaczej. Podobało się Bogu w kwiecie wieku powołać go do siebie.

Stara, ślepa matka przeżyła syna, ale do samego końca taili ludzie jego śmierć zawczesną.

Biedna staruszka, rozstając się ze światem, błogosławiła jeszcze nieobecnemu synowi, który nie potrzebował już tego błogosławieństwa, bo wcześniej od niej stanął przed tronem Najwyższego.

Podług Łozińskiego.

Zima do poety.

Jest ci ta ziemia omdlała i czarna,
Ale w niej drzemie barw cudnych tysiące
I kwiatów życia złożone w niej ziarna,
Nim przyjdzie słońce...
— Ty tylko pieśnią jej łono zagrzewaj —
O, mów! O, śpiewaj!

Jest ci ta ziemia i wyschła i pusta,
Ale w niej bije żywota zdrój świeży
I rzesz spragnionych napoi on usta
szumem wielkim ku morzu pobieży...
— Ty tylko pieśnią, jak wichrem, powiewaj —
O, mów! O, śpiewaj!

Jest ci ta ziemia bezpłodna i głucha,
Ale ma soki w swym łonie żywiące —
Co dadzą pokarm dla ciała i ducha,
Na lat tysiące...
— Ty tylko pieśnią jej niwy obsiewaj —
O, mów! O, śpiewaj!

Myśl i czyn wielki, jak chleb, się poczyna,
Z małego ziarnka, co pada w pierś ziemi,
A kiedy wiosny uderzy godzina,
Buja pionami złotymi..
— Choć wszyscy zwątpią, ty się ich spodziewaj —
O, mów! O, śpiewaj!

Nikt nie wie, kiedy i odkąd przywiany
Zarodek życia przynosi nam dola,
Z wiatrem uderza o chat naszych ściany,
O nasze pola...
— Ty oraz je pieśnią i łzami polewaj —
O, mów! O, śpiewaj!

Marja Konopnicka.

Z życia Tadeusza Kościuszki.

W szkole rycerskiej.

II.

Tadeusz nie wymawiał bezmyślnie słów podczas uroczystości przyjęcia do szkoły rycerskiej, lecz uważał je jako zobowiązanie, którego dopełnienia miał za najświętszą powinność. Postanowił więc duszą całą oddać się nauce, uważając ją za skarb drogocenny. Skarb ten postanowił posiąść koniecznie, aby w przyszłości użyć go dla dobra ojczyzny.

To też po skończonej uroczystości zaczął Tadeusz pracować gorliwie i wytrwale. Nierzadko pracował i w nocy. A gdy czasem zmęczone powieki zamykały się, zlewał głowę zimną wodą, aby w ten sposób sen odpędzić. W lecie zrywał się skoro świt do pracy. Bojąc się zaspać, uprosił stróża, sprzątającego rano w salach szkolnych, aby go budził. Ponieważ jednak stróż, wchodząc do sali, mógł był obudzić i drugich, którzy chcieli spać jeszcze, zatem Kościuszko wymyślił sobie taki sposób budzenia się ze snu: oto przez dziurkę od klucza w drzwiach prowądzących na korytarz przeciągnął sznurek, a drugi jego koniec wiązał sobie u ręki. Stróż, przechodząc przez korytarz, szarpał sznurkiem i w ten sposób budził śpiącego.

Sumiennie i gorliwie wykonywana praca darzyła młodzieńca pogodą umysłu, jak świadczy następujące zdarzenie:

Kościuszko miał wielki talent do rysunków. Talent, wsparty pracą, wydał piękne owoce. Rysunki i zeszyty Tadeusza odznaczały się nie tylko poprawnością, lecz także wzorową czystością. Pewnego razu z figlów narysował Kościuszko na jednej kartce swego zeszytu rozgniecioną muchę.

Z udanym strapieniem pokazywał kolegom swój wzorowy zeszyt, tak bardzo zeszpecony. Naraz otwierają się drzwi, a w sali jawią się dostojni goście: król, prowadzony przez komendanta szkoły, księcia Adama Czartoryskiego.

Stanisław August oglądał prace uczniów, a że rysunki Kościuszki były najpiękniejsze, profesor więc podał jego zeszyt monarsze. Dostojny gość z przyjemnością oglądał tak poprawnie wykonane rysunki, chwaląc ucznia za pilność i staranność w utrzymywaniu zeszytu.

Wtem król spostrzega rozgniecioną muchę i wyraża żal, że taki wzorowy zeszyt uległ zeszpeceniu. Wtedy zarumieniony młodzieniec przyznał się, że muchę narysował z figlów.

Oczywiście, płatając figla, nie spodziewał się Kościuszko, że zwiedzie gościa w koronie.

Przy wrodzonych zdolnościach i wytrwałej pracy Tadeusz Kościuszko wzbogacił w szkole rycerskiej umysł swoją gruntowną nauką, a obok tego zjednał sobie miłość i szacunek profesorów i przełożonych, którzy go też stawiali kolegom za przykład jako najlepszy wzór ucznia.

Kościuszko w Ameryce.

III.

Przed stu przeszło laty Ameryka Północna toczyła z Anglją walkę o swoją niepodległość. Wielu znakomitych, a wolność miłujących mężów spieszło z Europy na drugą półkulę, ażeby czynną przyłożyć rękę do dzieła oswobodzenia walczącego o swoją swobodę narodu.

W końcu grudnia 1777 r. przybył także Kościuszko do Ameryki. Bez wszelkich środków i pism polecających stanął przed generałem Washingtonem.

— Cóż pan zamyślasz począć? — zapytał wódz naczelny, który zawsze mówił bardzo zwięźle.

— Przychodzę jako ochotnik, aby walczyć o niepodległość Ameryki — również krótko i stanowczo odpowiedział Kościuszko.

— Cóż pan umiesz? — spytał następnie Washington.

Na co odrzekł z właściwą sobie szlachetną prostotą Kościuszko:

— Racz mnie doświadczyć, generale!

Stało się temu zadość i Washington wkrótce przekonał się o dzielności szlachetnego Polaka. Oddano mu najpierw kompanję; a kiedy podczas odwrotu Anglików z Filadelfji ścigali ich Amerykanie, Kościuszko na czele kompanji ochotników cudów waleczności dokazywał.

Francuz Lafayette, który dowodził oddziałem ścigającym nieprzyjaciela, w wieczór po krwawym dniu dowiadywał się o dowódcę owych ochotników.

— Jest to młody Polak, szlachetnie urodzony, ale ubogi i, jeśli się nie mylę, nazywa się Kościuszko — odpowiedziano.

Ochotnicy stali o pół mili od obozu; Lafayette dosiadł konia, pospieszył do ochotników i kazał się zaprowadzić do Kościuszki.

Wszedłszy do namiotu, zastał go jeszcze obryzganego krwią i okrytego kurzem. Kościuszko siedział wsparty na ręku przy stole, na którym była rozłożona mapa. Tu się poznali obaj młodzi bohaterowie i od tej chwili ścisła łączyła ich przyjaźń.

Lafayette doniósł o waleczności Kościuszki Washingtonowi, a ten odtąd pilną na niego zwracał uwagę. Kościuszko odznaczył się w wyprawie na Rode Island i przy oblężeniu Nowego Jorku.

Kiedy Washington, objeżdżając szeregi, zbliżył się do oddziału Kościuszki, ten, wystąpiwszy naprzód, zawołał z zapałem:

— Wodzu! — jutro pod wieczór zdobędę baterję nieprzyjacielską lub zginę!

W samej rzeczy, korzystając z ciemnej nocy, Kościuszko podsunął się pod baterję; ale pomimo ostróżności, odkryty, krwawą musiał stoczyć walkę. Ciężko raniony w prawą rękę, chwycił w lewą pałasz i wiódł oddział do szturmu. Odwagą i zapałem jego zagrzani żołnierze wyparli wroga; Kościuszko zdobył trzy działa i dwa sztandary i zabrał znaczną liczbę jeńców.

Jak go żołnierze kochali, świadczy następujące zdarzenie.

Żołnierz trafiony kulą, kiedy go towarzysz, podnosząc z ziemi, chciał ratować, rzekł:

— Zostaw mnie, ja tylko prostym jestem żołnierzem; raczej ratuj naszego kapitana i zdobyte armaty!

Kiedy po zdobyciu Nowego Jorku Washington dziękował oficerom, ujął Kościuszkę za zranioną rękę i wobec zebranych, chwaląc jego zasługi i męstwo, wyniósł go na stopień podpułkownika i swego adjutanta; a gdy go bliżej poznał, synem swoim nazywał. Umiał cenić te zaszczyty Kościuszko, bo w liście do Niemcewicza tytuł ten „uważał za swoje najwyższe na ziemi dobro, które najbardziej szanuje".

Kościuszko w charakterze swym wiele miał podobieństwa do Washingtona: waleczny w boju, był zarazem ludzkim dla nieprzyjaciela. Dał tego dowód, kiedy jeden z generałów amerykańskich rozkazał mordować zwyciężonych Anglików. Kościuszko oparł się temu rozkazowi i pod karą śmierci nakazał swym żołnierzom, aby szanowali życie nieprzyjaciół. To też tak męstwem swym jaok też ludzkością zjednywał sobie miłość i uszanowanie żołnierzy.

Wojsko amerykańskie zrazu przyjmowało służbę tylko na pewien czas, po upływie którego oddziały wracały do domu, lub na nowo się zaciągały. Tak sobie postanowił był postąpić pewnego razu oddział, którym dowodził Kościuszko: a ponieważ nawet służył nad czas oznaczony, głośne wznosił przeciw temu skargi. Słysząc to Kościuszko przyznał użalającym się na to słuszność, wreszcie w te do nich odezwał się słowa:

— Przyjaciele! słowo uwolnienia was od służby jest wam dane, a to słowo jest dla mnie święte i niezłomne. Jeżeli dobrowolnie nie chcecie zostać, tedy idźcie w pokoju, ja was ze służby uwalniam. Co się zaś mnie tyczy, nie opuszczę powierzonego mi miejsca i zostanę z tymi, którzy razem ze mną chcą walczyć.

Słowa te cudownie podziałały na wzburzone umysły; zabrzmiał też jednomyślny okrzyk:

— Zostaniemy przy tobie; nie opuścimy naszego wodza!

Po skończonej wojnie niepodległa Ameryka, wdzięczna za tyle usług, ozdobiła piersi Kościuszki orderem Cyncynata, wyniosła go na stopień generała brygady, nadała mu prawo obywatelstwa, a oprócz pensji rocznej, wyznaczyła znaczne obszary ziemi. A kiedy Kościuszko w roku 1817 umarł w Solurze, Stany Zjednoczone uczciły pamięć jego pomnikiem w mieście Westpoint.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W krainie wschodzącego słońca.

Narodziny Nowego Roku, niosące z sobą ciepłodajne słońce i obudzenie całej przyrody do nowego życia, u wszystkich ras ludzkich na kuli ziemskiej jest uroczyście witane. Bez względu na rasę, narodowość i religję uroczysty zwyczaj witania nowego słońca można odnaleźć na całej kuli ziemskiej. Szczególnie uroczyście upływają te święta w Japonji. Nowy Rok w Japonji trwa trzy dni, od 1 do 3 stycznia i nosi nazwę Gantan, tj. początek świtu.

W dniu tym o świcie rozlega się przeraźliwy skrzyp bloków u studni. To kobiety czerpią wodę, która następnie służy do użytku przez cały czas trwania święta. Woda ta — to woda młodości. Niektórzy

japończycy przed wschodem słońca udają się na wzgórze, na brzeg morza, chcąc spotkać wschodzące na horyzonty słońce. W dniu tym mieszkańcy jednego domu, przyjaciele, sąsiedzi, spotykają się, witają, składają życzenia i pozdrowienia noworoczne. Drzwi wszystkich japońskich domów udekorowane są sznurami roślinnymi, którymi otacza się dom 5—7 razy. Sznury te zrobione są ze słomy ryżowej, ostatniego zbioru, w rodzaju wieńca, ze zwieszającemi się frendzlami, liczba których 3—5—7 jest symboliczna i służy do wróżby.

Z obu stron drzwi wchodowych każdego japońskiego domu ustawiane są mniej lub więcej pięknie przybrane drzewa. Służą do tego nie tylko choiny, lecz także bambus i drzewo wiśniowe. Drzewa te są symbolem długiego życia i szczęścia. U wejścia do zagrody każdy japończyk zawiesza również flagę z wyobrażeniem słońca, dla którego japończycy mają kult święty. Zwyczaj ten jest tak powszechny, że nawet najbiedniejsze rodziny w zapadłych kątach u swych zagród wywieszają słońca. Wewnątrz domu w alkowie u japończyka znajduje się mały ołtarzyk z drzewa, na którym ustawione są z ostatniego zbioru ryżu dwa wielkie okrągłe, białe jak marmur „mochi". Japończycy nazywają ten specjał zwierciadłem, z powodu formy, podobnej do starojapońskiego zwierciadła bronzowego. Cała izba przybrana jest w dekoracje narodowe, których jest poddostatkiem w każdym domu. W dniu tym japończycy przygotowują specjalny trunek „toso", lekki napój wyskokowy. Objadają się tak samo jak i chrześcijanie najrozmaitszemi potrawami. Szczególnem uznaniem cieszą się zupy, sporządzane z ryżu suszonego i mielonego. Odwiedzając krewnych i znajomych, japończycy składają życzenia, ubierając się ceremonjalnie.

Dnia tego wszyscy bawią się poza domem. Najpopularniejszą zabawą są smoki latające olbrzymich rozmiarów. Latawce te są tak wielkie, iż ledwie ich utrzymuje trzech — czterech silnych mężczyzn przy pomocy grubych i długich sznurów. Latawce są zwykle barwne, o krzyczących żywych kolorach. Przedstawione są na nich sceny heroiczne i epizody z podań i legend japońskich. Najczęściej figurują na nich tygrys lub smok, będące symbolami wielkiej siły i odwagi. Druga zabawa ludowa japończyków w tym dniu jest tz. „yari-hagu". Każdy gracz posiada tablicę z rękojeścią, zrobioną z lekkiego drzewa. Z jednej strony tej tablicy wykonana jest figura z jedwabiu przedstawiająca jakąś ważną osobę. Do zabawy tej używa się również czarny, okrągły twardy owoc z trzema lub czterema piórami karbowanemi. Podczas zabawy, która przypomina nasz tennis, owoc podbija się za pomocą owej tablicy z taką siłą i zręcznością, że ten z wielkim hałasem i świstem pędzi wysoko winując z zawrotną szybkością w sposób szczególny.

Gracze kolejno się zmieniają, a gra trwa często do rana. Dzieci bawią się w swoim gronie niemniej wesoło.

W przeciągu trzech dni Nowego Roku chodzą wędrowni aktorzy i wróżbiarze w starożytnych kostjumach japońskich. Wędrują o i grupami po 3—4 osoby, odwiedzając poszczególne zagrody, gdzie są gościnnie podejmowani. Od 1 do 7 stycznia domy przestają być udekorowane a ludność zachowuje nastrój radosny i uroczysty. Ale to dotyczy tylko wsi i prowincji. Po miastach bowiem wre nowoczesne życie, huczą fabryki i olbrzymie zakłady przemysłowe. Na ulicach zwykły pośpiech i rozgardjasz samochodów i tramwajów.

Rozmaitości.

Oryginalny konkurs. Pragnąc przyczynić się do stwierdzenia naukowego objawów medjumicznych takich, jak lewitacja, t. j. możność podnoszenia lub przenoszenia z miejsca na miejsce przedmiotów bez dotykania ich lub za pośrednictwem sił fizycznych dotychczas znanych (np. promieniowania ciepła, które w pewnych razach może pośrednio przenosić z miejsca na miejsce lekkie przedmioty); dalej ektoplazmja, t. j. możność dokonywania materjalizacji widocznych, stanowiących emanację ciała samego medjum i przyjmujących kształt twarzy lub członków ciała ludzkiego; wreszcie pisma niematerjalnego, t. j. możności wywoływania, bez dotknięcia, na papierze lub tabliczce szyfrowej pisma kredą lub ołówkiem — paryski „Matin" ogłasza konkurs oryginalny.

Oto, obiecuje wypłacić 50 000 franków temu medjum, które potrafi pierwsze wywołać jedno z tych trzech zjawisk w sposób nie ulegający wątpliwości i należycie stwierdzony.

Doświadczenia mają się odbyć wśród warunków, określonych przez samo medjum, ale pod kontrolą jury, złożonego z techników, psychjatrów i lekarzy, mianowanych przez redakcję „Matina", a także w lokalu wyznaczonym przez redakcję, co nie powinno wpłynąć utrudniająco, powszechnie bowiem jest przyjęte, że zjawiska medjumiczne przywiązane są do osoby, nie zaś do miejsca, w którym się medjum znajduje.

Doświadczenia o wyniku dodatnim lub takie, co do których zachodzą pewne wątpliwości, poddane będą ostatecznej analizie arbitrów, na których redakcja „Matina" zaprosiła trzech znanych powszechnie uczonych, będących członkami Akademji nauk i specjalistami słynnymi w kwestjach, tyczących się metapsychiki, mianowicie: prof. d'Arsonvala, prof. Richeta i M. A. de Grammonta.

Oczywiście, jedno i to samo medjum może ubiegać się o wszystkie trzy nagrody, t. j. o ogólną sumę 150 000 franków.

Pozostaje teraz oczekiwać wyniku tego niezwykłego konkursu.

Spóźniony ochotnik wojenny. Pisma amerykańskie donoszą: W tych dniach przybył do portu Nome w Cieśninie Behringa, należącego do Stanu Alaska, pewien mężczyzna i chciał się zgłosić w szeregi armji amerykańskiej, aby odjechać z nią do Francji na front przeciw Niemcom. Biedak był przekonany, że wojna trwa jeszcze, czyli, że spóźnił się tylko o 3 lata z frontową służbą... Do roku 1918 żył on na dalekiej północy na wybrzeżu cieśniny koronacyjnej i przez 3 lata podróżował, zanim dostał się stamtąd wzdłuż północnego morza lodowatego do Nome, leżącego w północno-zachodniej części Ameryki. W r. 1918 opuścił lodowatą ojczyznę a w zimie 1922 przybył do Nome. Nazywa się ten ochotnik Scaman i był dawniej angielskim policjantem górskim. Ma on zamiar wrócić na północ, albowiem nie może się przyzwyczaić do cywilizowanych stosunków.

Humor i satyra.

Miłosierny.

Chłop jadący na koniu trzymał na plecach wór ze zbożem. Ktoś przechodzący pyta go, czemu wora nie złoży na konia, tylko sam dźwiga, a chłop: Żal mi konia, bo mnie musi dźwigać, niech ja też trochę podźwigam.